

# Wycinanki (65)

## WOJCIECH WRZOSEK

### Wycinanki (65)

Zwykle chodziliśmy: do Ogrodu Luksemburskiego, pospacerować po Marais i pójść na plac Wogezów. Z kolei z rue Lamandé blisko na Montmartre, z rue Lauriston zaś wszędzie było blisko, i pod wieżę, i pod łuk, i na Pola Elizejskie.. W ostatni wieczór Chez Clément.



7 stycznia 1976 r. Michel Foucault uraczył swych słuchaczy takim oto wstępem do wykładu w Collège de France:



Chciałbym, aby możliwie jasne było to, co dzieje się na

tych wykładach. Wiecie, że instytucja, w której i wy, i ja w tej chwili się znajdujemy, nie jest ściśle biorąc instytucją dydaktyczną. Niezależnie od tego, jaką rolę zamierzano jej przypisać, kiedy dawno temu powoływano ją do życia, obecnie Collège de France funkcjonuje zasadniczo jako rodzaj organizmu badawczego, płaci się tu ludziom za prowadzenie badań. [...]

Nie uważam zatem tych środowych spotkań za aktywność dydaktyczną, lecz raczej za swego rodzaju publiczne informowanie o pracy, którą pozwala mi się wykonywać mniej więcej tak, jak chcę. Właśnie z tego powodu czuję się absolutnie zobowiązany do tego, by w miarę możliwości opowiedzieć wam o tym, co robię, do czego doszedłem, w jakim kierunku [...] zmierza ta praca; ale z tego samego powodu uważam, że jesteście całkowicie wolni i możecie robić, co wam się podoba, z tym, co wam powiem. Są to tropy badawcze, pomysły, schematy, zarysy, narzędzia – wykorzystujcie je, jak chcecie. W gruncie rzeczy mnie to nie dotyczy, chociaż interesuje. [...]

A teraz sprawa druga. Wiecie, co działo się na tych wykładach w poprzednich latach: z powodu swoistej inflacji, której przyczyny są dla mnie niejasne, doszło tu, moim zdaniem, do swego rodzaju blokady. Musieliście przychodzić o wpół do piątej [...], a ja stawałem przed audytorium składającym się z ludzi, z którymi nie miałem, ściśle mówiąc, żadnego kontaktu, bo część z nich, jeśli nie połowa, musiała przychodzić do innej sali i słuchać tego, co mówiłem, przez głośniki. Nie było to już nawet widowisko – ponieważ się nie widzieliśmy [...]. Powiem wam szczerze, że organizowanie w każdą środę wieczorem tego szczególnego cyrku to była dla mnie jak by tu powiedzieć... męka, to za wiele, przykrość, to za mało. Powiedzmy, że było to coś pośredniego. Doszło do tego, że zajmowałem się przede wszystkim przygotowaniem tych wykładów, wkładając w to niemało starań i uwagi, a o wiele mniej czasu poświęcałem

pracy badawczej, rzeczom zarazem interesującym i trochę niespójnym, o których mógłbym opowiedzieć, gdybym nie zadawał sobie ciągle pytania: jak w ciągu godziny lub półtorej mówić o tym czy owym w taki sposób, żeby za bardzo nie zanudzić słuchaczy, żeby dobra wola, jaką okazali, przychodząc mnie słuchać tak wcześnie i przez tak krótki czas, została im jakoś wynagrodzona itp. Tak płynęły miesiące i sądzę, że to wszystko nie było faktyczną nagrodą za wykonaną pracę i nie tłumaczyło powodu mojej tutaj obecności, a także waszej obecności, bo przecież mamy tu prowadzić badania, doskrobywać się do czegoś, odkurzać niektóre rzeczy [...]. Co więc robić? – pyta Foucault i odpowiada – Z prawnego punktu widzenia nie mogę wprowadzić formalnych ograniczeń wstępu do tej sali. Uciekłem się więc do dzikiej metody, która polega na robieniu wykładu o godzinie wpół do dziesiątej rano, bo pomyślałem sobie, że jak powiedział mój wczorajszy korespondent, studenci nie umieją już wstawać o wpół do dziesiątej [...]. Wybaczcie więc, że zmuszam was do tak wczesnego wstawania, i przepróście w moim imieniu tych, którzy nie mogą przychodzić, robię to po to, by te środowowe spotkania i rozmowy weszły na bardziej normalne tory pracy badawczej, pracy, którą człowiek wykonuje i z której zdaje sprawę w regularnych, instytucjonalnie przewidzianych odstępach[1].

Oto, jak w roku 1975 dziennikarz „Le Nouvel Observateur” Gérard Petitjean opisywał atmosferę tych wykładów:

Kiedy Foucault wchodzi na arenę, szybkim, zdecydowanym krokiem, przeciska się między ludźmi, aby dotrzeć do swojego krzesła, odsuwa magnetofony, aby położyć swoje papiery, zdejmuje marynarkę, zapala lampę i rusza, z prędkością sto na godzinę. Mocny, dobrze słyszalny głos, wspomagany przez głośniki – jedyne ustępstwo na rzecz nowoczesności w tej sali ledwie oświetlonej światłem, które płynie ze stiukowych rozet. Jest trzysta miejsc i pięćset stłoczonych osób, zapełniających najmniejszą wolną

przeestrzeń. [...] Żadnych efektów oratorskich. Jest to przejrzyste i straszliwie sugestywne. Żadnego ustępstwa na rzecz improwizacji. Foucault ma dwanaście godzin rocznie, aby w publicznym wykładzie wyjaśnić sens dociekań, którym poświęcił cały miniony rok. Dlatego maksymalnie zagęszcza i zapełnia marginesy, jak ci piszący listy, którzy mają zbyt wiele do powiedzenia, a doszli już do końca strony. Godzina 19.15. Foucault kończy. Studenci rzucają się do jego biurka. Nie po to by z nim rozmawiać, ale żeby wyłączyć magnetofony. Nie ma pytań. W rozgardiaszu Foucault jest sam. I komentuje: „trzeba by móc podyskutować o tym, co proponowałem. Czasem, kiedy wykład nie był dobry, niewiele trzeba, jednego pytania, aby wszystko znów się ułożyło. Ale to pytanie nigdy nie pada. We Francji efekt grupy uniemożliwia jakąkolwiek rzeczywistą dyskusję. A ponieważ nie ma kanału zwrotnego, wykład staje się teatrem. Jestem jak aktor albo akrobata wobec ludzi, którzy tu przychodzą. I kiedy skończyłem mówić, mam poczucie totalnej samotności...[2]

---

[1] M. Foucault, *Trzeba bronić społeczeństwa. Wykłady w Collège de France*, 1976, tłum. M. Kowalska, Warszawa 1998, s. 13–15. Wstęp do wykładu zawiera jeszcze pouczające niuanse rozumowania filozofa.

[2] G. Petitjean, *Les Grands Prêtres de l'université française*, „Le Nouvel Observateur”, 7 kwietnia 1975, cyt. za: Michel Foucault, *Trzeba bronić społeczeństwa...*, uwaga wydawców (François Ewald i Alessandro Fontana), s. 8.

---

Korekta językowa: Beata Bińko